

## **Karol Maliszewski, wstęp**

### **Izabela Fietkiewicz-Paszek, Próby wyjścia: Splot światów, próby ze słów**

Po co właściwie wstęp czy posłowie w poetyckim tomie? Czyż wiersze nie powinny bronić się same? W sformułowaniu „wiersze powinny bronić się same” pojawia się między innymi znaczeniami i to: sugestia ataku, przewidywanie agresywnej krytyki. Tak jakby w kontakcie z poezją czy w ogóle sztuką miało dochodzić przede wszystkim do odrzucenia i destrukcji zaproponowanej wizji świata, człowieka, języka. Otóż, wiersze nie muszą się bronić, a krytyk nie jest tylko po to, by je osłaniać przed wyniszczającym uderzeniem ze strony wymagającego czytelnika. Za dużo tu wojny, władzy, pragnienia dominacji. Na szczęście jest wyciszająca złe emocje idea obcowania, wzajemnego obdarzania się, rozumiejącego wczuwania. Chciałbym poruszać się w tym kręgu odbiorczym, od razu zaznaczając, że wiersze Izabeli Fietkiewicz-Paszek nie muszą się bronić i że wcale nie będą bronione.

Podjęto tu próbę towarzyszenia słowom barwom i kształtom, a obok tego pojawia się następna próba i powtórne towarzyszenie, tym razem czytelnicze. Czytanie jest poruszaniem się po obcym świecie i albo dochodzi do jego oswojenia, albo też nie. Gdy zachodzi drugie zjawisko, wychodzimy z kina, odrzucamy książkę, nie czytamy wiersza do końca. Izabela Fietkiewicz-Paszek przed napisaniem wierszy musiała przeczytać obrazy, wejść w ich symboliczną przestrzeń i przetransponować ją na system innych znaków. Wszystko po to, by unaocznić ludzką i artystyczną wspólnotę, opowiedzieć o podobnej wrażliwości. Wyobraźmy sobie ciąg dalszy tych dążeń i poszukiwań, tej pracy wokół ludzkich znaczeń. Oto ktoś maluje obrazy bądź tworzy grafiki, czytając wiersze zgromadzone w tej książce. Wiersze celowo pozbawione tytułów, a więc nie sugerujące klimatu i stylu nazwiskiem malarza. Ekfrazą wymuszałyby zaistnienie kolejnego odbicia w przestrzeni, w której od odbić się roi. Byłoby to prawdziwe tęczęwanie ekfrazy: przenoszenie znaczeń, rozszerzanie się wspólnej przestrzeni, dopisywanie głosów do rosnącego chóru, domalowywanie tła o nieco już innym odcieniu. Chyba dotarliśmy do sedna, odpowiadając intuicyjnie na pytanie, po co i jak „robi się sztukę”. Trzeba ją wywieść z siebie samego, lecz nie bez świadomości, że w tym pokoju istnieją formy i kształty, że poprzednicy zostawili obfitą dokumentację przeżyć i przemyśleń, że w określonym porządku zawiesili obrazy na ścianach.

Odwzorowanie może być usługowe i czołobitne, może świadczyć tylko o fascynacji. Wydaje mi się jednak, że na kanwie poruszającego nas obrazu da się opowiedzieć coś jeszcze. I to właśnie próbuje czynić kaliska poetka. Można przekroczyć horyzont „tu i teraz”, punktu

doznawania-poznawania określonego przez czas i jego konwencje. Tym sposobem galeria obrazów może stać się pretekstem do wykreowania galerii przelotnych stanów godnych wiersza, czyli ponownego, zrekapitulowanego obrazu. Tyle tylko że ten obraz poddać się musi regułom składni i zasobom słownika. To tak jakby ktoś z patyczków chciał ułożyć zarysy twarzy Mony Lisy. Tymi patyczkami są słowa. Ale przecież patyczki wstawione do wody wypuszczają nieraz listki. Dzieje się tak przy szczęśliwym spotkaniu doznania i kontemplacji z odpowiednim słowem i zdaniem, a odnoszę wrażenie, że w niektórych utworach tego zbioru do czegoś takiego doszło. Nie wiem dokładnie, dlaczego właśnie w nich. Może dotyczyły wyjątkowo mocno przeżytych, szczególnie ulubionych dzieł, a może po prostu tego dnia i o tej godzinie doszło do przemożnego odczucia jedności i korespondencji – namalowane wypełniło się napisanym, a napisane nie tyle uniosło namalowane, co pociągnęło je w głąb. To w tych najlepszych fragmentach próby wyjścia na przeciw obrazom stały się próbami wyjścia z zakłętego kręgu ograniczeń poezji i malarstwa. Jak się wydaje, z tych ograniczeń nigdy wyzwolić się nie da. A jednak próby takie, jak te, chociaż na chwilę unieważniają stateczny bezwład schematów, uwalniając energię krążącą w dziwnym niedopowiedzeniu-niedomalowaniu na pograniczu sztuk.

Tych chwil podczas czytania zebrało się sporo. Nie wiem, dlaczego najbardziej przywiązałem się do emocji unoszących się nad sonetami wywiedzionymi z obrazów Fridy Kahlo. Tu doszło – moim zdaniem – do wyjątkowego spotkania dwóch rodzajów ekspresji, dwóch kobiecości, dwóch stylów mówienia o bólu, o heroicznym scalaniu rozpadających się światów i części świadomości. To przy tych wierszach ujrzałem w tle jak żywe platońskie marzenie o domknięciu, dopełnieniu, o jedności. Owe momenty pełni to coś na kształt darowanych nam epifanii, szczęśliwy, acz nieczęsty, zbieg okoliczności – znaki te opatrzone są dialektycznym akcentem: darowany musi je sobie sam podarować. Potrzebny jest wysiłek wyjścia na przeciw. I to wówczas uczestniczy się w święcie samopoznania, odczucia celu i sensu, umocowania w bycie i w przestrzeni jego artefaktów. Jest się wtedy razem o wiele mocniej. To nam chciała tym tomikiem powiedzieć poetka z Kalisza. Tak czytam wspomnianą współobecność giętkich gałązek zdań Izabeli Fietkiewicz-Paszek i szelestu kresek, szumu kolorów Fridy Kahlo. „Harmonia. Gdyby jednej brakło/ - koniec. Muszą razem, przy gałęzi gałąź./ Razem kiedyś stworzą większą garść popiołu.”

Ale popiół ten najpierw słyszał, widział i czuł, a przeżywając, zatrzymał paradoksy dźwięków, linii i plam na płótnie i papierze.

KAROL MALISZEWSKI